

Poeta tęskniący - o Jerzym Waleńcyku

Urodził się w rodzinie robotniczej w 1927 roku. Po wojnie zdał maturę i zaraz potem ukończył polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Talent literacki pozwolił mu dość wcześnie, bo w wieku 22 lat, zadebiutować wierszami w tygodniku „Wieś” oraz w „Kuźnicy”. Przełomowy okazał się dla niego rok 1957, gdy wydał swój pierwszy tom poetycki „Wino półsłodkie” w ważnym i dziś Wydawnictwie „Iskry”.

To wtedy na fali popaździernikowej odwilży wchodziło do literatury tzw. pokolenie '56. Waleńcykowi była bliska postawa innych ówczesnych debiutantów – jak Herbert, Białoszewski, Bursa czy Grochowiak – przejawiająca się poczuciem obcości w świecie pozbawionym ładu, tęsknotą za stałymi wartościami, a także potrzebą autentyzmu, m.in. poprzez nobilitację codzienności. Młodych poetów cechowała również świeżość lirycznego tonu, śmiałość wyobraźni ciekawie powiązana ze skłonnością do konkretności, postawa buntu i moralnego niepokojenia ze światem.

Zwieńczeniem tego dobrego dla Waleńcyka czasu było zdobycie I nagrody w turnieju poetyckim podczas Festiwalu Młodej Poezji Polskiej w Poznaniu wierszem „Śpiew dla Rzeczypospolitej”. Dominuje w nim ton ironiczno-patriotyczny, kończy się zaś słowami: *Rzeczypospolito! To są twoje syny, / Noc chociaż krótka złudzenia wydarła, / A teraz przepłukują swe ochryple gardła. / Matką bądź dla nich. Nie w nich szukaj winy.*

W tymże roku tomem wierszy „Konwencje” debiutował również inny łódzianin – Jarosław Marek Rymkiewicz. Krytyka od razu zwróciła uwagę na obu debiutantów, wróżąc im dobrą literacką przyszłość. Rymkiewicz i Waleńcyk łączyło nie tylko miejsce zamieszkania i rok debiutu książkowego, ale też fascynacja poezją anglosaską, jej teorią, jak i praktyką. W ich wierszach odnaleźć można wiele zapożyczeń z Eliota, Audena, Pounda czy Stevensa.

Kariera literacka stała więc przed ambitnym chłopakiem ze Stoków otworem, drukował wiersze i opowiadania w liczących się wtedy pismach: „Twórczości”, „Współczesności”, „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nowej Kulturze”, „Po prostu”, „Od Nowa”, „Panoramie”, a dwa lata po debiucie „Iskry” wydały mu kolejny zbiór wierszy „Błaszany kogut”. Współczesnych na pewno zaintryguje jego nakład: 1500 + 250 egz.! Jednocześnie pojawiły się publikacje zagraniczne Waleńcyka w antologiach prezentujących nową polską poezję: w Wielkiej Brytanii, Niemczech Zachodnich i Szwecji.

Jerzy Waleńcyk z tamtych czasów wspominany jest jako bon vivant, człowiek ogromnej pasji twórczej, a przy tym łagodny i dobroniosny, zdolny do głębokich refleksji. Był stałym bywalcem „Łódzianki” i „Honoratki”, niezmordowanym spacerowiczem po Pietrynie, prowadził też teatr-kabaret w „Pałacyku” przy Piotrkowskiej 262, zachodził często do łódzkich redakcji.

W tym najlepszym dla niego okresie nastąpiło załamanie. W 1960 r. wziął udział w kolejnym Festiwalu Młodej Poezji Polskiej w Poznaniu. Został tam ciężko pobity przez Edwarda Stachurę i Romana Śliwonika, w wyniku czego przeżył zapaść psychiczną. Nie podniósł się z niej do końca życia.

Jego literacki kolega Eugeniusz Iwanicki tak wspomina spotkanie z poetą po kilku latach niewidzenia się: „W połowie lat sześćdziesiątych zacząłem współpracę z Odgłosami i wówczas ponownie zetknąłem się z Jerzym (...). Ale to był już zupełnie ktoś inny. Pamiętam, siedziałem w pokoju Jana Koprowskiego, kiedy wszedł doń otyły, zarośnięty mężczyzna w krótkich spodenkach i

malinowym kapeluszu z dużym rondem. Zaczął mówić chaotycznie, bez związku, powtarzając jeden i ten sam wątek w języku niemieckim". Było w tym coś symbolicznego – Casanova przeistoczył się w Falstaffa.

Waleńczyk wydał łącznie dziesięć tomów wierszy oraz cztery – opowiadań. Ale zainteresowanie krytyki stopniowo słabło. A jego poezja stale ewoluowała, jak na to zwrócił uwagę Henryk Pustkowski, od „europejskości” (jako polskiego Eliota) po „polskość” (à la Wincenty Pol). Łódzki krytyk postawił po latach nawet taką tezę: „Wiersze Waleńczyka były najciekawszą i najdojrzalszą chyba próbą przyswojenia liryce polskiej Eliotowej poezji. Próba ta była etapem koniecznym dla wytworzenia się tendencji neoklasycznej. I te zasługi Waleńczyka zostały przemilczane”.

Waleńczyk był inteligentem-erudytą o plebejskich korzeniach. Nie zapominał o nich. Utrwalił w wierszach i prozie Łódź swoich czasów – z ulicami, kawiarniami, restauracjami, a także jej przedmieścia – Arkadię młodości. W jego utworach pojawiają się więc Stoki, Bałuty, Chojny, Widzew, „Tkacka”, „Egzotyczna”, bar „Rekord”, stare robotnice wsiadające do tramwaju czy ojciec powracający do syna po dwudziestu latach nieobecności. Autor „Wina półsłodkiego” zawsze stał po stronie ludzi prostych z ich życiowymi problemami i marzeniami oraz pragnieniami lepszego egzystencji. Był poetą peryferii, pograniczy. Szary świat okazywał się dzięki jego wyobraźni pięknym i ważnym w swojej niepowtarzalności, przy wszystkich ograniczeniach tego punktu widzenia. W codziennych sprawach potrafił dostrzec ukryty sens oraz opatrzyć je filozoficznymi znakami zapytania. Wykorzystywał groteskę, ironię, przekorę i drwinę, na poły surrealistyczne asocjacje, by na koniec uśmiechnąć się do czytelnika i z głupia frant puścić do niego perskie oko.

I mimo że późne utwory Waleńczyka są czasem przegadane, niespójne, a autorskie intencje miejscami trudne do odcyfrowania (to pewnie efekt pogłębiającej się choroby oraz alienacji poety), to najbardziej udane jego wiersze i opowiadania brzmią wyjątkowo aktualnie.

Jerzego Waleńczyka nie znałem osobiście, napisałem jedynie o jego poezji pracę magisterską. Rozmawiałem o nim z jego literackimi przyjaciółmi z dawnych lat (zmarł w 1994 r.), według których zasługuje on na nazwanie jego imieniem ulicy w mieście, któremu oddał całe swoje życie i talent. Pozostawiając więc ten problem otwartym, przytaczam na koniec fragment znamienitego wiersza Waleńczyka „Jak rozumiem poezję”:

*Poezja jest jak kawałek suchego chleba,
Jak dwie żarówki,
Jak cichy grzebień niebieski w kącie dawno nie
używany,
Jak grajcarek do wina Saperawi, (...)
I jak ów Kusociński, polski przedwojenny
szybkobiegacz,
Lub jak pewien adwokat, co proponował
zmiany w strukturze,
Jak fajerka, przez którą Nieszczęśnik spala
kartki kalendarza (...)*